Nr. 10. Lwów, 15. maja 1903. (Wydany 20. maja). Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.

(Ciąg dalszy).

Drugie dziesięciolecie działalności „*Łowca*“ upływa pod kierownictwem Juliusza Starkla, który obejmuje redakcyę w r. 1888, a składa ją w r. 1897. Nowy redaktor, władający jednem z najlepszych piór w kraju, sam myśliwy, potrafił przez cały ciąg swojej redakcyi utrzymać „*Łowca*“ na tej wysokości, na jakiej stanął on w pierwszem dziesięcioleciu dzięki pracy Łozińskiego, dzięki bogatej skarbnicy dość świeżych jeszcze wspomnień o wspaniałych, a już zanikających łowach na grubą zwierzynę i dzięki współpracownictwu znakomitych pisarzy łowieckich, o których wspomnieliśmy już w ostatnim artykule, lub o których jeszcze w dalszym ciągu wspomnieć nam przyjdzie. Część, że się tak wyrazimy „urzędową“ „*Łowca*“, prowadził Starkel z wielką znajomością rzeczy i z sądem zawsze trafnym — w części beletrystycznej umieszczał artykuły, które są prawdziwemi perełkami sentymentu lub humoru, zawsze z tłem łowieckiem; „*Łowiec*“ zawdzięcza wiele swojemu drugiemu radaktorowi.

W r. 1897 obejmuje redakcyę p. Edmund

Kolbuszowski. Pod ręką zdolnego w swoim zawodzie dziennikarza przybiera *„Łowiec“* odpowiednią do zmienionych stosunków łowieckich postać. Już we wstępnym artykule z tego samego roku, mówi słusznie Starkel: „Nie możemy, jak „ongi, czerpać z samego wątku tradycyi. Prze„piękne obrazy łowiectwa historycznego rozpły„nęły się w mgle wieków i nigdy już odczaro„wać się nie dadzą. Wraz z całą kulturą nowo„czesną wyszło i łowiectwo z obsłonek roman„tyzmu, wstąpiło na tory trzeźwej, oględnej, świa„domej celu pracy, przestało być jedynie rycer„ską rozrywką, a zanurzywszy się w troskach „utrzymania zwierzyny łownej, wchodzi na tory „umiejętnych badań przyrodniczych i prawnych „postanowień, które wśród zmienionych warun„ków nowe mu stanowisko zakreślają. Dziś ło„wiec jest tylko jednym szeregowcem armii, „która musi słuchać wspólnych praw i przestrze„gać wspólnych przepisów, aby i dla ekono„micznych stosunków kraju i dla przyjemności „myśliwskiej łowiectwo na odpowiedniej wyżynie „utrzymać. Kto w tej armii chce mieć za prze„wodnika tylko własną, ślepą namiętność lub, co „gorzej, chciwość mięsa — ten robi wyłom w dzia„łaniu armii i musi być w tej samowoli poskra„miany. Stąd potrzeba łączności i związków mię„dzy myśliwymi — stąd konieczność wzajemnej „kontroli i porozumienia, aby usuwać wspólnemi „siłami wszystko, co przeszkadza racyonalnemu „rozwojowi łowiectwa, a czynić to, co mu sprzyja, „co je podnosi“. Temu kierunkowi pozostał *„Łowiec“* wierny i pod redakcyą p. Kolbuszowskiego i potem, kiedy redakcya przeszła w ręce Wydziału Towarzystwa. Barwne opowiadania wybitnych myśliwych, którzy naszą epokę z ubiegłą łączyli, a które tyle uroku dla czytelników *„Łowca“* miały, ustąpiły rozprawom nad ustawą łowiecką, nad statystyką łowiecką i nad sposobami ochrony i rozmnoży zwierzyny łownej. Wychodząc z założenia, że *„Łowiec“* powinien być w całem tego wyrazu znaczeniu organem Towarzystwa i członków Towarzystwo składających, pozostawia redakcya jak największą wolność głosu swoim członkom i każda korespondencya w tonie przyzwoitym, podpisana przez członka Towarzystwa, znajdzie gościnne przyjęcie w łamach *„Łowca“*, choćby nawet broniła przekonań, z któremi niekoniecznie redakcya się zgadza. Ma to tę dobrą stronę, że ścierają się zdania i że w wielu sprawach zainteresowanie wzmaga się, w miarę rozwijającej się dyskusyi. Dla samej sprawy zawsze to dobrze.

Mógłby spotkać zarzut redakcyę, że za mało stara się kierować przekonaniami swoich czytelników. Byłby to zarzut do pewnego stopnia słuszny — ale tylko do pewnego stopnia — robimy to z zasady — pragniemy, aby *„Łowiec“* nie był pismem, które myśli za swoich czytelników i przyzwyczaja ich do tego, żeby za nich myślano, ale przeciwnie, żeby był pismem, o którem czytelnicy myślą, pamiętają, jako o swojej własności duchowej i wskutek tego przywiązują się do niego. To sprawia, że *„Łowiec* ma rzeczywiście jakieś inne stanowisko, niż inne pisma peryodyczne — i że czytany jest z wielką chęcią i zamiłowaniem przez tych, którzy nie mają zwyczaju wogóle rzucać pism nierozciętych. Tam gdzie zachodziła potrzeba wyjawienia swojego zdania i zaznaczenia stanowiska, nie brakowało redakcyi nigdy i nigdy jej brakować nie będzie — *„Łowiec“*, jednak zdaniem naszem powinien zostać organem, w którym wolno i bez zadawania sobie żadnego przymusu mógłby każdy członek Towarzystwa wyrazić swoje zapatrywanie i zasięgnąć zdania innych myśliwych co do poruszonego przez siebie przedmiotu. Zresztą z porządku rzeczy tak być powinno — każdy myśliwy, jak to już nie raz redakcya zaznaczyła, jest mniej lub więcej dokładnym obserwatorem zdarzeń łowieckich i uroczych powabów natury, jej potęgi i jej skarbów — myśliwy zatem, że się tak wyrazimy, praktykujący, powinien dostarczać jak najwięcej materyału redakcyjnego. Starania redakcyi, bez takiej pomocy, będą zawsze jałowe — redakcya nie może bowiem umieszczać fantazyi myśliwskich, lecz tylko to, co odźwierciedla życie łowieckie w kraju i z luźnych, lecz dokładnie podanych obserwacyi i sprawozdań, może redakcya czerpać wskazówki, jakich rad ma ogółowi łowieckiemu udzielać.

Nie wolno nam jednak narzekać na brak współudziału ze strony członków Towarzystwa, w pracy redakcyjnej. Bywają czasy, że rzeczywiście świat łowiecki zdaje się zapominać o swoim organie — ogółem jednak biorąc, pamiętał o nim dosyć od samego początku jego istnienia, a czasem nawet bardzo troskliwie. Bez takiego współpracownictwa, nie mógłby *„Łowiec“* ani jednego roku istnieć — dlatego słuszną jest rzeczą, że wspominając przy tym naszym cichym i skromnym obchodzie jubileuszowym o pracownikach na polu kultury łowieckiej, nie możemy pominąć milczeniem współudziału licznych bardzo członków Towarzystwa, którzy *„Łowca“* pracami swojemi zasilali. Obok skromnych, a tak pożytecznych sprawozdawców czy to z odbytych polowań, czy to z jakich ciekawych zdarzeń w dziedzinic histo-

ryi naturalnej, stanęli tacy współpracownicy, którzy stali się chlubą piśmiennictwa łowieckiego polskiego i których inne literatury łowieckie mogą nam całkiem słusznie zazdrościć.

Uważamy sobie za obowiązek tym pracownikom parę serdecznych słów poświęcić.

C. d. n.

POGADANKI ORNITOLOGICZNE.



Napisał

Bronisław hr. Starzeński.

Kuropatwy europejskie.

(Przedruk wzbroniony).

Liczne głosy wielkich myśliwych nawołują, aby, jak kto potrafi, pisał do naszego „*Łowca*“, bo nie jest on pismem literackiem, lecz fachowem, a niekoniecznie fachowe wiadomości łączą się z pięknym i wyrobionym stylem. To też ja, zajmując się z powołania naukami przyrodniczemi, chcę zabawić się w żabę, nadstawiającą nogę kowalowi i posyłam mój nieudolny elaborat szanownej Redakcyi, aby go umieściła, gdy wyjątkowo nie będzie mogła numeru zapełnić pięknemi pracami naszych poważnych łowieckich autorów. Ponieważ z góry przypuszczam, że moja pisanina znajdzie grób w koszu redakcyjnym, piszę odważniej, jak to mówią „prosto z mostu“. Bo też pisali o kuropatwach nasi najznakomitsi autorowie, więc nie łatwe zadanie będzie wybrnąć z tego porwania się z motyką na słońce. Dziwi mnie bardzo mięszanie (nawet przez takiego ornitologa, jak śp. hr. Kazimierz Wodzicki), odmiany (rasy)*) naszej zwykłej, szarej kuropatwy, tak zwanej kamionki, (Perdix cinerea, varietas montana), z dwoma gatunkami, a mianowicie z prawdziwą kuropatwą kamionką, (Caccabis saxatilis, das Steinhuhn) i z kuropatwą skalną, (Caccabis petrosa, das Klippenhuhn). Tę to rzecz chcę wyjaśnić, o ile potrafię.

Kuropatwę szarą, (Perdix cinerea, das Rebhuhn), wszyscy tak dobrze znają, że typowej jej odmiany nie warto opisywać. Teraz słówko o jej odmianach, występujących u nas. Najpierw spotykamy tę sławną „kamionkę“. Śp. Taczanowski pisze o niej: **) „W okolicach wzgórkowatych i jałowych znajduje się stała rasa mniejsza, o wyrazistych barwach, z ciemniejszą podkowiastą plamą samców, a bez żadnego jej śladu u samic. Rasa ta tem się obyczajowo głównie odznacza, że po spędzeniu i rozprószeniu, tak twardo przypadają do ziemi, nie poruszają się już wcale, dopóki widzą niebezpieczeństwo, że wyszukanie ich przy pomocy nawet najlepszego wyżła, jest nadzwyczaj trudnem. Sam nieraz widząc miejsce, gdzie zapadły, uporczywie szukałem bez skutku, a dopiero wieczorem, o zmroku przekonałem się, że siedziały w tem samem miejscu, gdzie zapadły, i poruszyły się dopiero, gdy się dobrze ściemniło. Ptaki takie znajdują się we wzgórkowatych okolicach południowej części Królestwa, w północnych, i w równinach Mazowsza nigdy ich nie widziałem. Od zwyczaju twardego dosiadywania znane są pod nazwą kamionek“. Widoczne i jasne jak słońce jest, że w Polsce mamy do czynienia, nie z jakimś samodzielnym gatunkiem kuropatw, ale tylko z lokalną odmianą zwykłej kuropatwy szarej, (Perdix cinerea, var. montana). Druga odmiana tejże kuropatwy „kuropatwa wielkopolowa“, rozróżniana jakoby w Królestwie polskiem, nie zasługuje nawet wcale na tytuł odmiany, gdyż różni się tylko znaczniejszą wielkością ciała od formy typowej, a w upierzeniu różnicy najmniejszej nie przedstawia. Jestto poprostu zwykła szara kuropatwa, która od wielu pokoleń mieszkając w żyznych okolicach, lepiej się odżywiała, więc nic dziwnego, że jest większa i silniejsza. Nasze podolskie kuropatwy mogłyby bardzo dobrze uchodzić za „kuropatwę wielkopolową“ wobec kuropatw, strzelanych w mniej urodzajnych okolicach zachodniej Galicyi; chociaż i tam, z postępem kultury naturalne braki gleby zastępują sztucznymi środkami, podnoszącymi jej urodzajność, więc kuropatwa tamtejsza, mając coraz więcej pożywienia, nabiera postawy i tuszy.

Drugim gatunkiem, mieszkającym w Europie, jest prawdziwa kuropatwa kamionka, (Caccabis saxatilis). Zamieszkuje całe Alpy, Włochy, jest bardzo pospolita na dalmatyńskich wyspach, w Dalmacyi, Grecyi, Turcyi i Palestynie, zdaje się, że znajduje się dość licznie na całym półwyspie bałkańskim aż po Dunaj, a ma przypadkowo występować w południowych częściach Karpat siedmiogrodzkich. Większa jest od kuropatwy szarej, długość jej wynosi 35—37 cm., siąg skrzydeł 55—58 cm., długość skrzydła 17, ogona 10 cm. Płaszcz i piersi ma szaro-niebieskie, z rudawym odblaskiem, podgardle białe z czarną obwódką, część czoła koło nasady dzióba czarna, tak samo plamki czarne po każdej stronie dolnej szczęki. Brzuch żółtorudo i czerwono prążkowany, lotki czarniawo-brunatne, z białemi stosinami i z rdzawo-żółtawemi smugami na kraju zewnętrznych chorągiewek. Sterówki wewnętrzne takie, jak płaszcz, zewnętrzne silnie rude. Tęcza oka ciemnopiwna, dzióbek koralowy, nóżki blado-czerwone. Na greckich wyspach, w Małej Azyi, Arabii, Persyi i reszcie środkowej i południowej Azyi, występuje stała jej odmiana, (Caccabis saxatilis, var. Chukar), różniąca się jaśniejszą barwą i wyraźniejszym połyskiem rudym, mniejszą plamką czarną na czole, podgardle ma żółtawe i zaostrzone rudawe piórka koło ucha. Samiczka obu odmian jest mniejszą od kohotów, jak zwykle u ptaków grzebiących. Głos kamionki prawdziwej jest podobniejszym raczej do gdakania kur, niż do głosu naszych

---

*) Zamiast wyrazu „rasa“ będę stale używał polskiego wyrazu „odmiana“.

**) Ptaki krajowe, tom II., str. 60, wiersz 11—22. Wydanie pierwsze 1882 r.

kuropatw; zrywając się gwiżdże piskliwym, urywanym głosem. Młode puchowe jasno-popielate, tył głowy i kreska od oka do ucha brązowe, grzbiet brunatny, dwoma jaśniejszemi pasemkami okolony, przepołowiony taką linią, barki i boki brzucha także brunatne. W pierwszem pierzu na szaro-brunatnem tle, jasno-żółtemi plamkami na końcach piór upstrzona, tył głowy jasnobrunatny. Później dostaje coraz więcej szarych piór, a w listopadzie kompletnie wypierzona, niczem nie różni się od rodziców. W Alpach zamieszkuje wyższe okolice, przebywa głównie po słonecznych, kamienistych, lekko trawą i krzakami porosłych połoninach, prawie pod samą linią wiecznego śniegu, ponad leśną strefą. W południowych krajach zamieszkuje także i nisko położone równiny. Gnieździ się w najwyższych Alpach, w końcu maja, a nawet w czerwcu i w lipcu, w południowych krajach w marcu, a nawet już w lutym. Gniazdo ukrywa starannie pod kamieniem, kosodrzewiną, lub w innych bezpiecznych miejscach, wyściela je bardzo ciepło i starannie mchem, trawkami i siercią zwierząt, znosi 12—16 jaj, ozdobionych na tle jasnożółtawem bardzo delikatnemi blado-brązowemi kreseczkami znacznie większych, niż naszej kuropatwy. Kamionka jest bardzo wytrzymała na zimno, według hr. v. der Mühle nawet najsroższa zima nie może jej skłonić do opuszczenia ojczystych wyżyn alpejskich i do schronienia się w ciepłych i bogatych dolinach. Ruchliwsza, odważniejsza, zmyślniejsza i chytrzejsza od naszej kuropatwy zmysły ma daleko lepsze, korzystnie odznacza się tem pośród wszystkich kurowatych i znakomicie uchodzi przeto przed niebezpieczeństwami, a szczególniej trudno daje się łapać na wszelkie sidła, łapki, siatki i inne piekielne maszyny kłusowników. Ma lot najlżejszy i najcichszy ze wszystkich prawie kuropatw, biega znakomicie, nawet po najtrudniejszym terenie, wogóle więcej nogom niż skrzydłom dowierza. Lasów całkiem unika. Jej zmyślność i ostrożność czynią polowanie na nią bardzo trudnem, a przez to bardziej podniecającem i zajmującem niż na nasze szare kuropatwy. Odważna jest bardzo; gdy samiczka siedzi na jajach, to kohot broni jej mężnie i skutecznie od napaści wron, srok, sojek, a nawet i łasicy. Biedna nasza kuropatwa ani połowy tegoby nie potrafiła. Kamionka, tak ostrożna i dzika na wolności, bardzo łatwo daje się oswajać. W Chinach i w Indyach trzymają kohoty oswojone, w celu używania ich do walki między nimi samymi, i z kogutami domowymi. Bardzo często swojski rycerz, pomimo iż dzikiego siłą i wzrostem przewyższa, musi ustąpić z placu boju. Przyrodnik Murhard twierdzi, że na wybrzeżu Vessa i Elata, kamionka jest już w stanie kompletnego udomowienia, i że pastuchy pasą ją, tak jak u nas gęsi. W Grecyi trzymają ją jako antidotum przeciwko czarom i urokom, w tak małych klateczkach, że biedactwo ledwie ruszać się może, lecz mimo to, wytrzymuje kilka lat w niewoli. Wychowana od pisklęcia, przywiązuje się bardzo do swego pana, chodzi i lata za nim wszędzie, bije się z drobiem, psy i koty wygania z pokoju, słowem, jest jednym z najmilszych i najzabawniejszych ptaków oswojonych. Z tego krótkiego opisu łatwo jest się przekonać, że śp. hr. Wodzicki miał słuszność, nazywając kamionkę u nas mitem, a że z drugiej strony mają słuszność ci, którzy pewną stałą lokalną odmianę naszej kuropatwy szarej, nazywają kamionką. Dla wymienionych wyżej zalet nadawałaby się więc prawdziwa kamionka znakomicie do zaaklimatyzowania u nas. W skalistych, słonecznych ściankach Dniestru i innych rzek podolskich, byłoby poprostu idealne dla kamionki mieszkanie, w Tatrach i na Czarnohorze, takżeby jej dobrze było, a bardzo przyjemne polowanie i znakomite jej mięso wynagrodziłoby sowicie wyłożone koszta, które zresztą byłyby bez porównania mniejsze, niż przy zaprowadzeniu bażantów. W tym celu trzebaby ją sprowadzić z północnych Alp, z wysokich gór, gdzie zima trwa trzy kwartały i dochodzi do 30⁰ zimna, i puścić ją wolno w wyżej wspomnianych miejscowościach. Parka kamionek u nas na miejscu (wraz z kosztami transportu, etc.) nie kosztowałaby, przy liczniejszem zamówieniu, więcej 6—7 koron. Koszta utrzymania byłyby żadne, chyba tylko wynikające z tępienia drapieżników i prześladowania kłusowników, co zresztą prawie wszyscy i bez kamionki czynią. Możnaby także sprowadzić i jaja, lecz nie będę się dalej o tem rozwodził, bo to przechodzi sferę zadania przyrodnika. Niech o tem coś napiszą doświadczeni hodowcy zwierzyny, których Bogu dzięki, nie brak i u nas.

Bliską krewną kamionki jest k u r o p a t w a s k a l n a, (Caccabis petrosa). Ojczyzną jej jest północno zachodnia Afryka, wraz z wyspami Kanaryjskiemi, w Europie zamieszkuje licznie Sardynię, spotyka się w Grecyi, a na Maltę sprowadzają ją z Afryki corocznie, w wielkich ilościach, w celu zaaklimatyzowania jej tam. Piękna ta kuropatwa jest niewiele większą od naszej, znacznie mniejsza od kamionki właściwej i kuropatwy czerwonej, której opis dalej nastąpi. Kuropatwa skalna ma płaszcz rudo-szary, na skrzydłach kolor ten wpada w niebieskawy, spód ciała szaro-niebieski, piersi i brzuch podobne bardzo do kuropatwy kamionki, cała głowa jasnopopielata, szczyt głowy, kark i tył szyi kasztanowaty, na szyi kołnierzyk kasztanowaty, biało nakrapiany, niektóre pióra na płaszczu mają rdzawo-szare obwódki. Oczy, dziób i nogi, jak u poprzedniego gatunku. Młode trudno odróżnić od kuropatwy kamionki, gnieździ się już w pierwszej połowie lutego, siedzi na jajach 22 dni, na mrozy i na klimat wogóle nie tak wytrwała jak tamta, więc próby zaprowadzenia jej u nas wcaleby się nie powiodły. Strzelane rozlatują się pojedynczo na wszystkie strony i nieprędko się znowu znajdują i zbierają. Na wyspach Kanaryjskich zaprowadzili ją w XV. wieku hrabiowie de Gomera, gdzie się tak rozmnożyła, że w polu znaczne szkody czyni, a krajowcy tamtejsi z wielką paradą gusłami i egzorcyzmami wypędzają ją w skały i góry, gdzie ona właściwie mieszka i wywodzi się. Im dziksza, im bardziej skalista i niedostępna okolica, tem więcej ich jest. W lecie wywiódłszy młode, udaje się z gór w uprawne doliny, w takiej liczbie, że można strzelać ich tyle z okna, ile się tylko chce. Smaczne nadzwyczaj mięso robi tę „klęskę“ chyba łatwą do wytrzymania.

C. d. n.

Prawidłowe łowieckie odstrzeliwanie saren.

W ostatnich czasach coraz częściej daje się odczuwać potrzeba uregulowania w niektórych rewirach stanu sarn.

Ustawa łowiecka galicyjska, która bardzo słusznie, rachując się z ówczesnymi stosunkami, tak stanowczo w obronę wzięła ród sarni, zabraniając zupełnie strzelania siut, uczyniła roztropnie, bo jak skutek okazał, przyczyniła się w ten sposób do znakomitego rozwoju stanu sarn w kraju. Ta sama ustawa jednak przypuszczała potrzebę regulowania stanu sarn przez ubijanie jałowych siut, bo nadaje władzę pewnym czynnikom, do których także, jak wiadomo, Towarzystwo nasze się liczy, zezwalania na odstrzelanie siut.

Coraz częściej, jak to czytelnicy nasi ze sprawozdań z posiedzeń Wydziału Towarzystwa widzą, udają się właściciele rewirów, w sarny obfitujących, o zezwolenie na odstrzelenie pewnej liczby sarn, i Wydział, zbadawszy stan sprawy przez swoich delegatów, wydaje przychylną opinię w tych wypadkach, gdzie jest gwarancya, że przy tem odstrzeleniu nie będzie popełnione żadne nadużycie.

Ponieważ potrzebę usunięcia pewnej ilości jałowych siut w wielu wypadkach uznajemy, uważamy za stosowne zapoznać naszych czytelników ze zdaniem znanego pisarza łowieckiego, Grasheya, wyrażonem w tym względzie w dziele jego „Praktisches Handbuch für Jäger“.

Pojęcie ochronnego chowu zwierzyny schodzi się z pojęciem polowania. Chów i łowiectwo muszą się wzajemnie uzupełniać. Głównym warunkiem ochronnego chowu zwierzyny, jest znać stan jej wedle ilości i płci, wedle wzajemnego stosunku między sobą i to jak najdokładniej. Sprawdzenie tego nie jest wcale łatwem zadaniem, a jest przedewszystkiem zadaniem myśliwego z powołania.

Zima jest najdogodniejszym czasem do stwierdzenia stanu zwierzyny. Przy pierwszej ponowie musi rewirowy być jak najwcześniej na nogach, aby obejść i zbadać cały rewir.

Aby to wykonać, obchodzi się każde miejsce, każdą większą gęstwinę i spisuje się ilość zwierzyny, która wyszła i która weszła; za pomocą odejmowania otrzymuje się ilość zwierzyny, która znachodzi się w rewirze. Znana nam jest następująca praktyczna metoda, którą najmniej wykształcony gajowy łatwo pojmie. Obchodząc rewir, bierze się przy każdym nowym tropie wyszłej zwierzyny małą gałązkę w jedną rękę — zaś przy każdym tropie weszłej zwierzyny taką gałązkę w drugą rękę; z różnicy tych dwóch liczb otrzymuje się ilość zwierzyny, znajdującej się w rewirze. Od rewiru do rewiru notuje się te różnice, tak, że w końcu wie się dokładnie, ile zwierzyny było w całej kniei.

Późniejsze ponowy mogą posłużyć do skontrolowania obliczenia, uzyskanego z poprzednich.

Równocześnie należy zwierzynę pod względem płci, wieku i zdrowia skontrolować na żerowiskach i wogóle w rewirze, a wyniki porównać z uzyskanemi datami z poprzedniego badania tropów. Pilny i oględny rewirowy będzie mógł w ten sposób i przy pomocy spostrzeżeń, poczynionych na wiosnę, kiedy kozły zaczynają czyścić rogi, także na podstawie odpowiednio zestawionego wykazu przygotować na najbliższy peryod polowania, stan zwierzyny, przeznaczonej do odstrzelenia i zgodnie z tem postępować. Chore i nędzne sztuki muszą być odstrzelone jeszcze przed rują, by nie dopuścić do pogorszenia rasy i zdegenerowania.

Aby utrzymać w ewidencyi stan rogaczy i zostającą w nim w związku liczbę sztuk, przeznaczonych do odstrzelenia, należy zwracać baczne oko na miejsca, gdzie kozły wycierają parostki. W każdym rewirze znajdują się stałe miejsca, w których zawsze przebywają dobre kozły. Odstrzeli się jednego, to w krótkim czasie znajdzie się na jego miejsce, drugi dobry kozioł. Sposób obcierania parostków jest równocześnie kartą wizytową, którą kozioł zostawia myśliwemu. Sposób czyszczenia wykazuje prawie pewnie, czy pochodzi od dobrego, czy też od nikłego kozła.

Dobre kozły używają do czyszczenia rogów silniejszych pni i drzew, niż nikłe; czyszczenie odbywa się także w ten sposób, że silniejszy kozioł narusza pień więcej ku górze, podczas gdy słabszy ociera swe rogi o jałowce, modrzewie i choiny, jak najmniejsze.

Dawniej uważano jako należyty stosunek, gdy na dwie lub najmniej trzy kozy przypadał jeden kozioł — wliczając już mniejsze. Dziś — i gdzie chroni się kozy ustawowo przez cały rok, stosunek ten przedstawia się, niestety, całkiem inaczej; nawet w dobrze utrzymanych rewirach nie znachodzi się na 6—8 kóz więcej, niż jeden kozioł. Z nadejściem czasu odstrzeliwania, t. z. gdy już kozły zupełnie zmieniły farbę, należy silniejsze czerwone kozły po kolei odstrzeliwać, aby ułatwić młodszym kozłom w czasie rui, przystęp do zapładniania kóz. Na tym punkcie rozchodzą się zapatrywania myśliwych. Niektórzy wychodzą — i nie zupełnie niesłusznie — z zapatrywania, że silniejsze rogacze dają zdrowe potomstwo, młode ich są silniejsze i lepsze co do ustroju rogów.

Jakkolwiek przychylamy się do tej zasady, to jednak przypuszczamy, że uzyskanie silnego potomka nie zależy od starszego wieku rodzica i jego każdorazowej siły, lecz raczej od jego indywidualnej mocy.

Dlaczegożby nie miał rogacz, który jest płciowo dostatecznie dojrzały, a który w czasie zapłodnienia jest w pełni sił — a więc np. widłak z dobrego pnia — zrodzić zarówno silnego i zdrowego potomka, jak stary szóstak?

Ten widłak, albo przyszły szóstak wypełniony jest cały wyczekiwaniem zostania w najbliższych latach szóstakiem; nie odziedzicza się bowiem siły, lecz tendencyę do uzyskania jej, tkwiącą w każdym rogaczu.

Kozły, które do późna w czerwcu pozostały szare, i nędzne, które nieco kaszlały i nie zmieniły maści i takież nikłe sarny, należy przed rują — zwłaszcza, gdy potrzebne jest zmniejszenie stanu kóz — usunąć.

Właściciel rewiru, lub przynajmniej rewirowy musi przed rują znać dokładnie swe sarny, by racyonalnie módz w razie potrzeby strzelby użyć.

Przeciw zapatrywaniu, że tylko całkiem silne stare kozły należy przypuszczać do rui — przemawia ta okoliczność, że silniejsze, przeważnie stare kozły mniej się nadają do rozpłodu, niż średnio-silne, a to z następują-

cych względów: 1. stary kozioł jest bardzo zazdrosny i skory do bójki; nie ścierpi w pobliżu mniejszego kozła, przezco wiele słabszych kozłów, odpędzonych, opuszcza rewir, by się gdzie indziej odszkodować w zaspokojeniu popędów płciowych i tym sposobem przepadają dla własnego rewiru.

Ciągłe uganianie się kozłów pozbawia sił nawet starszego, zazdrosnego kozła.

Zbiegany i wycieńczony nie jest w stanie dopełnić należycie aktu zapłodnienia, abstrahując już od tego, że przez ciągłe uganianie się z rywalami nie może wogóle podołać obowiązkom względem kóz, więc obowiązki te zaniedbywa.

2. W ten sposób wiele kóz przebywa czas rui — bez zapłodnienia.

Sarny, które jedną lub więcej ruj przebędą niezapłodnione, tyją i są niezdolne do zapłodnienia, tak że później jałowieją zupełnie.

Punkty te rozważone, prowadzą do wniosku, że także i tutaj należy się trzymać środka. Będzie wskazanem, przed rują — silne (stąre) kozły ile możności odstrzeliwać, równocześnie atoli, na pewnych miejscach, w środku rewiru, jednego lub dwa, dobre kozły zatrzymać; natomiast należy oszczędzać sumiennie przed rują zdrowe, średnio-silne kozły. Gdy one spełnią swe zadanie i po przebytych trudach przyjdą do siebie, przyjdzie i na nie, o ile stan pozwoli, czas odstrzeliwania. Kto strzela mniejsze kozły, które zawsze łatwiej podejść można, niż stare a ostrożne, nawet przed rują, ten musi być na to przygotowanym, że będzie miał mało silnych kozłów w rewirze.

Jeden ze starszych i doświadczonych myśliwych wyrzekł do wątpliwej wartości hodowcy zwierzyny następujące słowa: Te kozły, które pan ubiłeś w latach poprzednich jako spiczaki lub widłaki, już więcej nie przyjdą panu na strzał jako szóstaki. Kto mniejsze kozły rok w rok strzela, co żadnych nie przedstawia trudności, ten nadczerpie swą myśliwską kasę, gdyż małe kozły dostarczają mniej zwierzyny na stół. Ten myśliwy jednak, który swe spiczaki, a po upływie czasu ochronnego nawet młodsze koźlęta strzela, może być pewnym, jeżeli w ogóle może mieć jakie pretensye do nazwy „myśliwego“, że w przeciągu kilku lat zrujnuje doszczętnie stan saren — i że u niego nie będzie mowy o prawidłowym stanie zwierzyny. Abstrahując już od racyonalnych zasad, twierdzimy, że sama przyjemność łowiecka doznaje znacznego uszczerbku, gdy w pewnym rewirze nie ma już dobrych lub kapitalnych kozłów. Radość ze zręcznego podejścia i ubicia kapitalnej sztuki przeważa dziesięciokrotnie wątpliwą satysfakcyę, odniesioną z ubicia nawet pół tuzina koźląt. Charakter myśliwego odźwierciedla się najlepiej w trofeach ze zwierzyny przezeń ubitej; zbiór, w którym przeważają małe sztuki, chyba nie robi imponującego wrażenia.

Utyskujemy częstokroć, że nasze kozły nie mają takich parostków, jak w dawnych czasach i przypisujemy to zdegenerowaniu zwierzyny. Uwzględnijmy atoli, że liczba miłośników polowania zdwaja się z przyrostem ludności, a nawet potraja, że na zwierzynę nastaje się coraz więcej, a w skutek zmniejszenia się lasowych kompleksów nastaje się coraz intenzywniej i że zwierzyna nie doznaje w rewirze niezmąconego spokoju, jakim cieszyła się poprzednio. Aby dojść do dobrej, silnej zwierzyny, musimy jej zarówno zapewnić spokój, jak odpowiednie pożywienie.

Jeżeli pozwolimy kozłom dojść do pewnego wieku i nabrać siły — otrzymamy kozły o odpowiednich parostkach.

Jaskrawego dowodu na to, dostarczają nasze górskie rewiry. Mimo, że zimy bywają tam srogie i że brak żeru, zwykłego w nizinach, osiągają tam kozły kapitalne parostki i bywają bardzo silne.

Jako sprzyjające temu rozwojowi okoliczności należy przytoczyć: że zwierzyna przebywając w górach, pozbawionych mieszkańców, nie doznaje niepokoju, że ukryte w dzikich i głębokich lasach unikają dłużej prześladowania ludzi i osiągają starszy wiek.

Do pieczołowitego utrzymania rewiru należy odstrzeliwanie notorycznie jałowych, starych kóz. Kozy te ciągną korzyści z zapału kozłów, lecz nie wydają potomstwa, co więcej odpędzają sarny od kozłów, tak, że one po rui pozostają niezapłodnione, a więc w niczem nie przyczyniają się do podniesienia stanu zwierzyny.

Dla racyonalnie, sumiennie gospodarującego myśliwego może ustawowe odstrzeliwanie saren — podczas krótkotrwającego okresu odstrzeliwania — przynieść tylko korzyść, a to z następujących powodów:

1. Niepłodne już, jak wyżej wspomnieliśmy, sarny, usuwa się.

2. Przyrost w młodzieży, ze względu na płeć, jest rozmaity.

W niektórych latach wydają kozy przeważnie sarnięta żeńskiego rodzaju, a przez to zmienia się znacznie stosunek stanu zwierzyny, ze względu na płeć. Stan sarn zwiększa się znacznie, lecz równocześnie nie otrzymuje się wyższego stanu kozłów, nadających się do odstrzeliwania, gdyż stan ten zmniejszy się w trzecim roku.

3. Kasa myśliwska ucierpi wskutek tego, podczas gdy z drugiej strony nadmierny stan saren da powód do skarg ze strony sąsiadów, wywoła żądania większych odszkodowań za szkody, przez zwierzynę wyrządzone. Jeżeli chodzi o sumiennego myśliwego, to regulowanie stanu zwierzyny wedle zachodzącej potrzeby, musi być pozostawione jego uznaniu.

Już sama ustawa łowiecka i to prawie każda, zapobiega podobnym wypadkom, przyznając władzy administracyjnej przy nadmiernym przyroście saren, prawo zezwalania na odstrzelenie pewnej ilości sztuk. Postanowienie to jednak może być szeroko tłómaczone i jest zależne od każdoczesnego zapatrywania i usposobienia osób uprawnionych.

Lecz właściciel polowania nie może w każdym wypadku i w każdym czasie, gdy ta lub inna koza ma być usunięta — obierać drogi ustawowej, zwykle długo trwającej, najeżonej formalnościami, raczej zrzeknie się odstrzelania, lub chwyci się środków innych z pominięciem ustawy (! ?)

Tu wypada nam wtrącić kilka punktów, odnośnie do wyrównującego odstrzeliwania, stanowiącego główny czynnik prawidłowego chowu zwierzyny.

W niektórych krajach zażywa sarna ochrony przez cały rok, t. z., że bez specyalnego policyjnego zezwolenia nie można saren strzelać.

Jest to z jednej strony korzystne, niekorzystne atoli z drugiej; przez to bowiem utrudnia się regulowanie stanu zwierzyny i stosunku płci, które powinno się odbywać możliwie co rok.

Na wniesione podanie o zezwolenie na odstrzelenie saren, wyznacza władza ilość i czas, w którym odstrzelenie ma nastąpić i z reguły zostaje wyznaczony w tym celu miesiąc październik lub listopad, a więc sezon polowań z nagonką. Ponadto przypada czas polowania na sarny w państwach, w których czas ten w ogóle ustawowo oznaczony, także na miesiąc październik i listopad.

Mojem zdaniem postanowienia te nie są racyonalne — są one starej daty, zaczerpnięte ze zgoła innych stosunków i przeszły do nas tylko na mocy tradycyi, lecz zgoła nie odpowiadają naszym dzisiejszym stosunkom, wręcz odmiennym.

Powszechnie uskarżamy się — i nie bez słuszności — na zdegenerowanie zwierzyny, zanik siły i parostków, zaczem idzie również mniejsza odporność na inne, niekorzystne wpływy. Zazwyczaj przypisujemy przyczyny tego zdegenerowania zmienionym lub niewystarczającym środkom pożywienia, niemniej większemu niepokojeniu, którego zwierzyna doznaje wskutek zwiększenia się ludności i zwiększonemu zużytkowaniu ziemi dla celów rolniczych i gospodarstwa lasowego.

Przyznaję, że wszystkie te stosunki, przeciw którym walczyć nie możemy, sprawiają degeneracyę, lecz przytoczę tu inny, bardzo ważny powód, którym myśliwy może dysponować, t. j. stale praktykowane, nieracyonalne odstrzeliwanie. Zauważyłem już poprzednio, że gdy pozwolimy kozłowi osiągnąć należyty wiek i siłę, odwdzięczy się nam odpowiednimi parostkami. Lecz ściśle biorąc, to samo nawet przy dostarczaniu zwierzynie odpowiedniego i dostatecznego pożywienia, nie wystarczy w ciężkich czasach.

Aby zapobiedz degeneracyi, musimy przywrócić i utrzymać należyty stosunek co do płci i odpowiedni stosunek stanu u saren, a to można osiągnąć tylko przez prawidłowe, uzasadnione odstrzeliwanie — przez regulowanie stanu zwierzyny za pomocą strzelby. Wyjaśnijmy te punkty.

1. Jak należy regulować stosunek płci i stanu zwierzyny?

2. Jak należy uskuteczniać odstrzeliwanie?

3. Jak i kiedy należy odstrzeliwać sarny?

ad 1. Zanadto obfity stan sarn nie da się pogodzić ani z racyonalnym chowem, ani też ze względami należnymi bądź to rolnemu, bądź lasowemu gospodarstwu. „Mamy za wiele kóz" czytasz i słyszysz często. Starsi i nowsi autorowie z dziedziny łowiectwa, doświadczeni myśliwi hołdują zasadzie, że prawidłowy stosunek między kozłem a sarną winien być 1 : 2; niektórzy gorętsi myśliwi życzyliby sobie nawet zrównania tego stosunku. Ja uważam tę zbytnią gorliwość za niepotrzebną i nie dającą się przeprowadzić i zadawalam się, jak to już wspomniałem, jednym kozłem na 2—3 sarny.

Stosunek stanu wymierza się się przy bardzo dobrym stanie saren w ten sposób, że na każdych 5 hektarów lasu przypada 1 sarna.

Rząd bawarski przeznaczył w norymberskim lesie państwowym na 100 hektarów 6 sarn, to znaczy 1—2 saren na 20 hektarów.

Toby powinno wystarczyć.

ad 2. Roczne odstrzeliwanie kozłów powinno być tak wymierzone, by na najbliższy rok pozostały rogacze o rozmaitej sile i stopniu wieku; liczbę kozłów do odstrzelenia oblicza się wedle rocznego przybytku w kozłach i wedle corocznego ubytku, spowodowanego wpływami zimy, drapieżników i sąsiadów.

Aby módz utworzyć należyty plan odstrzelania, potrzeba mieć pewne ustalenie stanu zwierzyny w drugiej połowie zimy i przed rozpoczęciem polowania. O samem odstrzeliwaniu mówiłem już wyżej.

ad 3. Odstrzeliwanie siut powinniśmy przedsiębrać w takim czasie, w którym stanowi zwierzyny nie zrobimy uszczerbku, a to, aby osiągnąć jak największą zdolność produkcyjną ze zwierząt, znajdujących się w rewirze.

Czas ten przypadłby od 1. czerwca br. po środek lipca.

Poniżej wykażę, z jakich powodów należy okres ten uważać za najstosowniejszy.

1. W miesiącu czerwcu można najłatwiej odróżnić między siutami te, które są jałowe, siuta ma aż dotąd zawsze koźlęta obok siebie a prócz tego poznać ją łatwo po widocznych sutkach.

Szczególniej poleca się odstrzelenie siut jałowych, siut które są stale niepłodne, aby rogacze nie używały przy nich nadaremnie swych sił. Oznaczenie atoli tych siut jest rzeczą drażliwą — a może na pewne orzec to tylko leśny, codziennie przebywający w rewirze.

2. Słabe sarny, które źle przezimowały zimę można strzelać jeszcze przed rują.

3. Gdy usuniemy zbytnie i nie nadające się do rozpłodu siuty przed rują, zachodzi prawdopodobieństwo, że rogacz nie ma za wiele sarn do obsługi i że pozostałe kozy będą wszystkie zapłodnione tak, iż będzie można spodziewać się silnego potomstwa.

4. Jeżeli przedsiębierzemy odstrzelenie przed rują i jeżeli przytem dokonywamy troskliwego wyboru sztuk do odstrzelenia przeznaczonych przez osoby, znające rewir, w takim razie nie narażamy się na niebezpieczeństwo odstrzelenia zdolnej do wydania potomstwa, lub nawet zapłodnionej sztuki, przez co narazilibyśmy rewir na dalszą szkodę.

Jeżeli przedsiębierzemy odstrzeliwanie w miesiącu listopadzie, a do tego na polowaniach z nagonką, przez osoby niepowołane, w takim razie nie dokonywa się wcale wyboru i padają nie tylko młodsze, zapłodnione sarny, lecz także starsze, mające w tym roku młode, jeszcze na wiosnę na świat wydane.

W tych wypadkach ginie wraz z matką także płód, a osierocone koźlęta zginą w ciągu zimy, lub gdy zimę przebędą, pozostaną na całe życie, wskutek braku sił i zaniku — sztukami — degenerującemi rasę.

Musimy zatem stanowczo zerwać z tradycyą, nakazującą odstrzeliwanie sarn w listopadzie.

W dawniejszych czasach, w których prawdziwa ruja prawdopodobnie była przesunięta na grudzień, można było dla tego zarządzenia znaleźć usprawiedliwienie — dziś nie ma ono zastosowania. — Zarządca lasów w Dars, v. Räsfeld (znany i ceniony pisarz łowiecki) wyrzekł w odczycie r. 1901 te słowa:

„Nie ślepem trzymaniem się starego stanu rzeczy i form, lecz rozsądnem zużytkowaniem i postępu i zdobyczy naszych czasów dojdziemy bliżej celu, który jest najlepszą częścią naszego zawodu i nosi dewizę: prawidłowe łowiectwo!“

Powinniśmy zatem dążyć usilnie ku temu, aby ustawowy czas strzelania sarn, gdzie on egzystuje, przesunąć w okres, w którym regulując stan zwierzyny — nie wyrządzilibyśmy mu uszczerbku — tam natomiast, gdzie odstrzelenie siut może się odbyć, tylko za zezwoleniem władzy, powinniśmy dążyć, aby czas odstrzelenia został przesunięty w poprzednio wspomniony okres, nie zaś w okres polowań z nagonką. Nasze stosunki łowieckie zmieniły się już.

Już nie przyroda, ani też mykita troszczą się o wyrównanie i oczyszczenie stanu saren ze słabszych sztuk.

Lis padł ofiarą trucizny lub strzelby; musimy zatem liczyć się z teraźniejszością — wykorzystać praktyczne doświadczenia i kroczącą naprzód wiedzę i sami przedsięwziąć wskazane wyrównanie stanu zwierzyny a degeneracya przestanie się szerzyć.



Na toku koguta.

(Wrażenia z trzech dni, spędzonych w Karpatach).

„Donoszym, że polowania pilnujem życzliwi i oczekujim Jaśni Wielgomożnego Pana niecierpliwi i zarazym donoszym, że już som ślady, że koguty przychodzom na nasz rewir i proszy zaraz przyjechać bo oczekujem niecierpliwi, bo gotury (głuszce) już się wabiom“.

Tej treści list otrzymałem, przed świętami Wielkanocnemi od mego strażnika polowania koło Tartarowa. Wiedząc, że Jura nigdy nie „drukuji“ i zna się bardzo dobrze na zwierzynie i jej zwyczajach, postanowiłem skorzystać ze sposobności i zaraz po świętach na kilka dni tam pojechać.

Dzięki uprzejmości szefa mego uzyskałem bez trudności kilkudniowy urlop i na drugi dzień świąt, zapakowawszy dryling do futerału, kilka koców i zapasowe ubranie do „rucksacka“, gdyż spodziewałem się, że będę zmuszony przepędzić noc w górach, wsiadłem popołudniu do czerniowieckiego pociągu pośpiesznego. Przyjechałem o 6-ej do Stanisławowa, gdzie mię na stacyi taką okropną lurą, pod nazwą kawy potraktowano, że mi się przez całą następną drogę przypominała. O wpół do dziesiątej wieczorem byłem w Tartarowie, oczekiwany na dworcu przez Jurę, któremu poprzednio telegraficznie o przyjeździe znać dałem. Kwaterę i wikt miałem już naprzód zamówione u pani B.

Zjadłszy z wilczym apetytem dostatnią kolącyę, przyczem mi dzielnie mój poczciwy Jura pomagał, ułożyliśmy plan kampanii na dzień następny. Jak dowiedziałem się od strażnika, znajdowało się w rewirze więcej głuszców, tokują jednak licho „szcze nedobre kłapajut“, jak mówił, ponieważ dotychczas było zimno, a dnia poprzedniego upadł w dodatku obfity śnieg, – ale to nic nie szkodzi. W każdym razie przed świtem, trzeba być na „werchu“ (na szczycie góry), gdzie jest tokowisko.

Ponieważ rewir mój oddalony jest od Tartarowa o sześć kilometrów drogi, a od podnóża góry do wierzchu trzeba dobrze iść godzinę, należało z domu wyjechać najpóźniej o 2-ej rano, a tymczasem ze względu, że to już północ, zaraz iść spać, by przynajmniej trochę wypocząć po trudach podróży.

Godzina druga rano; budzik dzwoni przeraźliwie, w pokoju dość zimno, ciepłe łóżko zaprasza, by w niem zostać, ale żyłka myśliwska przezwycięża znużenie i zaczynam się pośpiesznie ubierać, a równocześnie otwierają się drzwi i Jura z ogromną latarnią, w której świeci się miniaturowej wielkości świeczka łojowa, przychodzi naglić do pośpiechu, oświadczając, że już konie czekają przed gankiem.

Zarzucam futerko, dryling na szyję i za chwilę siedzimy na wózku. Noc prześliczna; na niebie księżyc w pełni, wszystkie gwiazdy jasno świecą i nie ma ani jednej chmurki, tylko zimno dotkliwe i na Prucie w miejscach, gdzie woda spokojniej płynie, potworzyły się się powłoki lodu.

Po półgodzinnej jeździe wyciągniętym kłusem, konie stanęły, a my wysiedliśmy, by dalszą część drogi po przejściu przez Prut, piechotą odbyć. W miejscu w którem Prut przejść należało, była dawniej wygodna kładka z poręczami; któż wyrazi obecne moje zdziwienie, gdy teraz zamiast tej kładki, którą wezbrana woda zabrała, zastałem położony w wysokości jakich 8 do 10 metrów nad mocno wezbraną rzeką, cienki, okrągły pień sosny, bez żadnego podparcia i poręczy, a w dodatku jeszcze obmarzły, po którym musiałem się przeprawiać na drugą stronę po ciemku, gdyż nadbrzeżne skały zupełnie zasłaniały światło księżyca.

Kąpiel w zimnym Prucie, do tego z takiej wysokości, nie uśmiechała mi się wcale, a przeprawić się na drugą stronę po pniu, który się wyginał, zdawało się wprost niepodobieństwem. Stałem chwilę bezradny. Nareszcie, jak to mówią zebrawszy na odwagę, dałem futerko, broń i rucksack do przeniesienia memu huculowi, a sam po nadludzkich wysiłkach, by zachować równowagę, przeszedłem jakoś szczęśliwie na przeciwległy brzeg.

Po godzinie wytężonego marszu, podczas którego musiałem wspinać się bardzo stromo pod górę i przełazić przez próchniejące i z korzeniami powywracane przez burze pnie sosen i wielkie głazy, a miejscami przez śnieg dochodzący do wysokości kolan, stanąłem potem zlany na grzbiecie „Horbinia“, skąd jeszcze do tokowiska było około pół godziny drogi, ale nierównie łatwiejszej.

Odsapnąwszy chwilkę, zacząłem powoli iść grzbietem do tokowiska, obserwując liczne ślady głuszców, na śniegu.

Gdy stanąłem na miejscu, świecił jeszcze księżyc jasno, ale gwiazdy już zaczynały blednąć; oznaki, że niedługo już świtać zacznie.

Przedemną rozciągała się polanka długości stu kilkudziesięciu kroków i równie szeroka, otoczona dokoła rzadkim lasem.

Sama polanka pokryta była grubą warstwą śniegu, z pod którego sterczały miejscami duże kamienie; stało tam także kilka grubszych smereków. Zbliżywszy szkło do oczu, badałem pojedyncze drzewa otaczające polankę, czy nie dojrzę, na którem z nich głuszca, — z powodu jednak, że jeszcze na dworze ciemno było, nic dojrzeć nie mogłem.

W tej samej prawie chwili, usłyszałem łomot skrzydeł na przeciwnej stronie polanki i zaraz potem odezwał się tam głuszec, któremu zaraz odpowiedziało kilka innych, na okolicznych drzewach.

Stałem jak posąg, z zapartym oddechem, oparty o pień sosny, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że najmniejszy szelest z mej strony, lub ruch nieostrożny, spłoszyć może całe to towarzystwo, a w takim razie trud dnia tego dla mnie zupełnie stracony, a oprócz tego bałem się bardzo, by mię kury, które odzywały się na krzakach, nie dostrzegły.

Po kilku minutach wyczekiwania, usłyszałem ponownie łomot skrzydeł i zobaczyłem jak na przeciwległym końcu polanki, spuścił się głuszec z sosny na ziemię. Przez chwilę stał zupełnie nieruchomo i wyciągnąwszy szyję, badał czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa, — następnie pozostawszy w tej samej pozycyi, nastroszył pióra na głowie i na podgardlu i zaczął tokować: z początku powoli, później zaś czem raz prędzej następowały po sobie tony, aż nareszcie wydawszy z siebie pojedynczy przeciągły ton, roztoczył wachlarzowato podniesiony do góry ogon i spuściwszy ku ziemi skrzydła, zaczął kręcić się w kółko na jednem miejscu.

Cała ta scena trwała zaledwie kilkanaście sekund.

Przeczekałem spokojnie, aż po chwili zaczał na nowo tokować, i w chwili gdy zaczął wydawać szybko po sobie następujące głośne tony, podskoczyłem naprzód o kilka kroków i przykucnąłem za wielkim głazem, zachowując przytem jak największą ostrożność, by w czasie, gdy głuszec przestanie tokować, nie trzasnęła mi pod nogą sucha gałązka lub zmarzły śnieg nie zaskrzypiał. Znakomitą usługę oddały mi przy tem moje buciki, o grubych podeszwach z miękkiej gumy.

By mnie głuszec nie zobaczył, nie miałem obawy, gdyż podbiegając byłem zawsze przed ptakiem zakryty, już to przez pojedyncze grube sosny, już to przez duże głazy.

Podbiegając kilka razy w powyżej opisany sposób zbliżyłem się do tokującego koguta na jakich ośmdziesiąt kroków — i klęknąłem za grubym przez burzę zwalonym pniem sosny.

Dalsze podbieganie było niemożliwe, gdyż przedemną była już zupełnie otwarta płaszczyzna, śniegiem pokryta, bez żadnych kamieni i sosen, za które skryćby się można i przy najmniejszem poruszeniu musiałby mnie głuszec dostrzedz — bokiem zaś nie mogłem go podejść, gdyż po jednej i po drugiej stronie polanki odzywały się z cicha kury, które gdyby mnie zobaczyły, spłoszyłyby swoim głośnym krzykiem i głuszca.

Mam krupowski dryling roboty Kleszewskiego, który znakomicie bije i postanowiłem zaryzykować strzał z tej odległości, to jest jak mogłem ocenić na jakich ośmdziesiąt kilka kroków.

W chwili, gdy o ile możności jak najciszej odciągałem kurek, zrywa się raptem głuszec ze ziemi. Co się ze mną wtedy działo nikt opisać nie potrafi; pewny byłem, że go spłoszyłem przez jaki ruch nieostrożny.

Lecz na szczęście tak nie było; głuszec wzleciał na najbliższą sosnę i na grubym zeschłym konarze zaczął znowu tokować.

Wyczekawszy, aż śpiew jego miłośny doszedł do punktu kulminacyjnego, złożyłem się powoli, zmierzyłem i pociągnąłem za cyngiel, a królewski ptak z głuchym łoskotem spadł na ziemię, farbując śnieg.

Wyskoczyłem z ukrycia i pobiegłem do głuszca. Był to śliczny, ogromny stary kogut, pięknie upierzony, z białemi plamkami na kończynach czarnych piór ogona, (Pan Hartl, u którego obecnie się preparuje mówi, że egzemplarz nadzwyczaj piękny i duży. Ważył przeszło 6 klg.). Strzeliłem go przypadkiem jakoś tak szczęśliwie, że nie uszkodziłem ani skrzydeł ani ogona i cały nabój dostał w piersi i w szyję.

Oglądnąwszy go wołam na Jurę, który został paręset kroków w tyle, by go przyszedł wziąć. Gdy nie przychodził, wyciągam trąbkę i zaczynam trąbić; wreszcie, gdy i to nie pomaga, biorę sam głuszca i wracam do miejsca, gdziem Jurę przedtem zostawił. Dochodząc do tego miejsca już zdaleka widzę pąsowe spodnie Jury, rozciągnięte za zwalonym pniem sosny, na śniegu. Po drugiej stronie pnia, w odległości może pięciu kroków, spacerują najspokojniej trzy kury. Gdy mię Jura zobaczył, zaczął mi dawać znaki, bym się cicho zbliżał, ale uczynił to dość niezgrabnie, kury to spostrzegły i uleciały z krzykiem, a i w pobliskich sosnach coś burknęło.

Korespondencye.

Peczeniżyn, 15. maja 1903.

Polowanie na dziki.

Dnia 24. lutego br., o godzinie 12-tej w południe dał mi znać strażnik lasowy, a względnie ck. leśniczy, że w oddziale lasu „Reszetów“, oddalonym od Zarządu o 6 klm., obtropił na świeżo spadniętym śniegu, stado dzików, złożone mniej więcej z dwunastu sztuk, między któremi znajdują się dwa duże odyńce.

Chociaż dziki przebywają tu zawsze przez całe lato, wynoszą się jednak na zimę do okolicznych miejscowości. Oznajmiono ten dość rzadki wypadek w tutejszym okręgu myśliwym miejscowym z wezwaniem, aby kto ma chęć i zdrowe nogi, stawił się koło rogatki w Reszetowie o 2-ej godzinie. To też o oznaczonym

czasie znalazło się nas 6-ciu myśliwych, a że nagonka również już była na miejscu, rozpoczęto bezwłocznie polowanie. Dodać należy, że miejscowy leśniczy miał małego jamnika „Pagata“, który już kilkakrotnie z dzikami się potykał, a raz był nawet cięty.

Po ustawieniu się myśliwych nagonka ruszyła; 15 minut natężonego oczekiwania, jakiego tylko myśliwy doznaje, a gdy nagonka przed linią myśliwską już tylko może o sto kroków była, rozległ się pośród tejże krzyk, że dziki tuż przed linią leżały i poszły w tył.

Wobec tego faktu myśliwi jak najrychlej musieli zająć nowe stanowiska tam, skąd nagonka ruszyła, a ta znów miot brać o kilka potoków dalej i gdy tylko rozpoczęto gonić, stado dzików to jest samura, wycinek i ośm warchlaków, wyszło na jednego z myśliwych który jednak miał ten „pech“, że mu karabinek manlicherowski nie wypalił raz i drugi, a gdy trzaskanie mechanizmem za długo trwało, dziki nie chciały stać dłużej i zwróciły się na drugiego myśliwego, który samurę strzałem w komorę na miejscu położył. Reszta dała sposobność trzeciemu myśliwemu do dwukrotnego strzału, kula zrobiła pudło, lotki raniły śmiertelnie wycinka w płuca i przednią łopatkę. Wycinek jednak powlókł się dalej i zaległ w potoku, skąd w następnym miocie przez nagonkę ruszony, wolnem idąc tempem — dał możność trzem innym myśliwym do kanonady.

Po tem bombardowaniu upłynęło może pięć minut, nagonka szła dalej, gdy naraz usłyszeliśmy głos leśniczego: „baczność — odyniec idzie“!

Ponieważ staliśmy przed parowem, za którym wznosiła się ubocz, więc widać było doskonale, chociaż w gąszczu, co się na tej przeciwległej uboczy dzieje. Po kilku chwilach przedstawił nam się widok, który trudno opisać. Oto ukazał się odyniec całkiem wolno idący, a za nim o jakie dziesięć kroków ciągle naszczekujący „Pagat“. Co chwila jamnik robił z odyńcem młynka.

Odyniec stawał, fuknął na „Pagata“, który czem prędzej odskakiwał, obiegał odyńca w około, ten zaś dalej się wolno posuwał, powtarzając ten manewr przed oczami myśliwych mniej więcej ośm razy. Co za widok! co za emocya! Może być także, że który z myśliwych życzył sobie — by ten odyniec jak najdalej od niego wyszedł, albo żeby stał tam na uboczy aż do nocy, ale widać pilno mu było, bo niezadługo wysunął się z parowu pomiędzy tym myśliwym, który ubił samurę, a tym, który ranił wycinka. Pierwszy strzelił na czterdzieści kroków i widać było, że dzik trafiony, bo skoczył w górę, potem strzelił znowu dwa razy drugi myśliwy grubym śrótem pp., który, jak to się później okazało -- nawet skóry zupełnie nie przebił — dzik zaś uszedłszy trzydzieści kroków runął nieżywy, dostawszy kulą 14 kalibru w komorę, tak samo, jak samura.

Domyśleć się łatwo można było, że warchlaki bez samury daleko nie pójdą. To też nagonka czem rychlej otoczyła parów drugi, leśniczy poszedł w ślad za farbą wycinka i wkrótce dały się słyszeć strzały. Szczęśliwiec, który ubił samurę i odyńca, chcąc dać większą szansę strzelania innym myśliwym, stanął sam z boku na drodze, ale widocznie, że św. Hubert“, czy może patronka „Dyana“ przeznaczyła mu jeszcze dalszą rolę w tem polowaniu, bo niezadługo dały się widzieć uciekające warchlaki, a przy przeskakiwaniu przez drogę, dostał jeden z nich kulą w krzyż, kwiknął, siadł na drodze, a później zjechał aż do potoczku, gdzie druga kula zakończyła jego męczarnie. Później zniesiono jeszcze wycinka, dobitego przez innych myśliwych i na rozkładzie znalazły się cztery dziki upolowane w dwu godzinach.

Martyniec.

Tołszczów, 8. maja 1903.

Przed kilku dniami w biały dzień tj. około 8-ej z rana z lasów Kuhajowskich, wypadł prawdopodobnie przez ludzi spłoszony jeleń, byk, dość silny, przebiegł środkiem wsi Podciemne koło Lwowa i wpadł w lasy Tołszczowskie, gdzie go zdala przez dwa dni widziano. Skąd jeleń przyszedł niewiadomo, prawdopodobnie z gór, bo nie znany mi jest nigdzie w pobliżu zwierzyniec, z któregoby się wyłamał. Jeleń był widziany przez wielu ludzi, straż leśną i leśniczego Piotrowskiego.

Niepodobna też stwierdzić, gdzie się obecnie jeleń ten podział, faktem jednak jest, że już w pobliżu Lwowa jelenie zaczynają się pojawiać i daj Boże, by na stałe zagościły, a myśliwym tę może największą rozkosz myśliwską połączoną z ubiciem jelenia sprawiły. Słonek w roku bieżącym tak jakby nie było — ubito zaledwie kilka sztuk. Lisy giną — znajduje się bowiem zdechłe, lub też chodzą jak nieprzytomne. W moim okręgu administracyjnym ubito na obejściach gospodarskich, dokąd bez żadnej ostrożności zawędrowały, trzy sztuki.

Stanisław Kowalski.



Sprawy Towarzystwa

Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z d. 1. maja 1903. Przewodniczy Prezes hr. Stanisław Stadnicki. Obecni Wiceprezesowie hr. Juliusz Bielski i Seweryn Krogulski, członkowie Wydziału pp. Hamerski, Klusik-Orzechowski, Matkowski, Miziewicz, Sołowij. Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia, zawiadamia p. Krogulski Wydział, że wszystkie sprawy, uchwalone na poprzedniem posiedzeniu zostały załatwione. Do członków zalegających z wkładkami za lata poprzednie wy-

sygnał p. Syndyk listy upominające, wskutek których wpłynęły już wkładki od 15. członków. Następnie przedstawia Wiceprezes stan kasy, uznany za bardzo pomyślny. P. Krogulski referuje następnie sprawę prośby dóbr Mokszyszowa o zezwolenie na odstrzelenie w rewirze Krządka 50 siut i 10 łań, a w rewirach Krawce i Buda na odstrzelenie 100 siut i 30 łań. Po odczytaniu opinii delegatów i wyczerpującej dyskusyi, zgadza się Wydział na odstrzelenie w rewirze Krządka 5 łań, a w rewirach Buda i Krawce 10 łań i to z zastrzeżeniem, że strzelane będą łanie jałowe i w porze właściwej — na odstrzelenie siut nie zgodził się Wydział — a to na podstawie opinii delegatów, którzy zgodnie orzekli, że stan sarn w tych wszystkich rewirach nie jest taki, żeby odstrzelenie choćby kilku siut nie było połączone ze szkodą gospodarstwa łowieckiego. Prośby zarządu polowań w Worochcie, Zielonej i Tartarowie, o pozwolenie odstrzelenia w latach 1903—1906 po 30 łań, załatwiono w ten sposób, że zgodzono się na odstrzelenie 30 łań jałowych w r. 1902. Przy tej sposobności uchwalono zasadę, że nie należy zgadzać się na odstrzelanie łań i siut na pewien dłuższy szereg lat z góry, gdyż nie można wiedzieć, czy w tym czasie nie nastąpią z powodów klimatycznych lub z powodu jakich chorób takie zmiany w stanie zwierzyny, że ubicie pewnej liczby łań lub siut w nowych warunkach stanowiłoby szkodę dla gospodarstwa łowieckiego — postanowiono tedy wydawać opinię na najbliższe tylko lata i zezwolenie na ubicie łań w latach dalszych uczynić zawisłem od każdorazowego rozpatrzenia wniesionej nowej prośby. Następnie przedstawia p. Krogulski sprawę zastrzelenia 5 siut na polowaniu w Wyczółkach w lutym br. W sprawie tej otrzymał Wydział relacyę z bardzo poważnego źródła, wskutek czego wystosowano do Starostwa buczackiego odpowiednie pismo. W odpowiedzi na to przesłało Wydziałowi ck. Starostwo akta dochodzenia w tej sprawie, z których okazuje się, że fakta podane nie zostały zeznaniami powołanych świadków stwierdzone. P. Szczerbicki przedstawia zamknięcie rachunków za r. 1902 i stwierdza, że komisya znalazła je zgodnem z księgami i dokumentami rachunkowymi. Po przyjęciu zamknięcia rachunków do wiadomości, referuje p. Krogulski sprawę preliminarza na r. 1902. Zdaje zarazem sprawę o ofercie na druk *„Łowca“*, która pozwoliłaby zaoszczędzić pewną sumę w tej rubryce. Po wyrażeniu uznania Zarządowi za doprowadzenie funduszów Towarzystwa do stanu kwitnącego, uchwalono uprosić hr. Prezesa, aby według swojego uznania oznaczył termin, w którym ma się udać deputacya do JE. p. Namiestnika w sprawie wykonywania przepisów ustawy łowieckiej, jak również, aby wyznaczył jej skład. Wydziałowi krajowemu w odpowiedzi na jego rezolucyę w sprawie udzielenia pewnej części funduszu uzyskanego z opłat za karty łowieckie, uchwalono wykazać konkretne cele, na które fundusz taki zostałby użyty. Odpowiednie pismo ma być przedłożone Wydziałowi do uchwalenia na najbliższem posiedzeniu. Hr. Bielski wnosi zawotowanie 240 koron na zakupno premii dla popisowego strzelania w roku bieżącym. Uchwalono. Na tem zakończono.

Posiedzenie komitetu urządzającego popisowe strzelanie w czasie VII. zjazdu łowieckiego z d. 2. maja 1903. Przewodniczy Juliusz br. Bielski, obecni JE. Korytowski, pp. Krogulski, Klusik-Orzechowski, Miziewicz, Nostadt, Pieńczykowski.

Na Zjazd wyznaczono dzień 1. lipca 1903. Ponieważ dawna sala domen, w której dawniej odbywały się zjazdy, nie stoi już do dyspozycyi Dyrekcyi domen, która przez szereg lat użyczała Towarzystwu gościnności, zezwolił JE. p. Prezydent Korytowski, aby zjazd odbył się w wielkiej sali radnej krajowej Dyrekcyi skarbu, za co Przewodniczący imieniem Towarzystwa wyraża Ekscelencyi serdeczne podziękowanie. Uchwalono przy omawianiu regulaminu podobnie jak w roku zeszłym sześć strzelań, a więc strzelanie z pistoletów na 25 kroków, kulami ze sztućców do tarcz stałych na 80 kroków, następnie na odległość 120 kroków, strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika i lisa, w końcu strzelanie do kul szklanych. Przy tych ostatnich dwóch strzelaniach uchwalono na wniosek p. Pieńczykowskiego dodatek do regulaminu, dozwalający strzelającym składać się dopiero wtedy, gdy figura dzika i lisa pokaże się na linii. Na wniosek p. Miziewicza postanowiono wziąć pod rozwagę, czyby nie należało w nagrodę za strzały przyznawać obok innych nagród także medale Towarzystwa. W myśl uchwały komitetu ma p. Miziewicz przedłożyć na jednem z następujących posiedzeń odpowiednie wnioski. Do komitetu kooptowano pp. Zdzisława hr. Tarnowskiego, Stanisława Jędrzejowicza, Augusta Jordana Stojowskiego, Jerzego hr. Wodzickiego i Stefana Kozłowieckiego.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.